
Nasz Głos

Miesięcznik Naukowo-Literacki
Organ Młodzieży Szkolnej

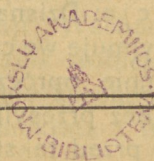
„Lękam się niekiedy o człowieczeństwo w tym wieku.

Mogłoby na czas wtył się cofnąć. — Człowieczeństwo albowiem tak, jak naród, tak, jak osobnik, ma wolną wolę — i jeśli wybierze „zło” miasto „dobra” postęp swój na czas hamuje, zwraca wtył. Pycha mnóstw tak mi każe lękać się o nie, jak pycha królów przykazywała niegdyś spodziewać się ich upadku.

Na ustach wielu słowo „postęp” — ale w tejsze samej chwili na dnie ich serc pomimo ich wiedzy, lecz nie woli, chęć zawistna wszystkiemu światu, wszelkiej powadze, wszelkiej miłości, zatem chęć poniżania tego, co „wyższe”, a nie podwyższania tego co niższe, zatem chęć zwrotu”.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

ROK 1932



Cena 70 gr.

TREŚĆ ZESZYTU MARCOWEGO

1. Pierwszemu Marszałkowi Polski.
2. Na legjonowym zwycięstw pergaminie (wiersz)
3. Pieśń żołnierska
4. Głosy poetów polskich w dobie Polski wyzwajającej się (1914—1918)
5. Wiersz o Marszałku Piłsudskim
6. Opis cytadeli magdeburskiej
7. List Józefa Piłsudskiego z 15 marca 1917 r.
8. Dżwina (wiersz)
9. Czas (wiersz)
10. Z pism ks. Grzegorza Piramowicza
11. Noc wigilijna pod Ökermezö
12. W rocznicę ukazania się 1-go numeru
13. W zaciszu morskiem
14. Wieś na Kresach Wschodnich
15. W setną rocznicę śmierci Goethego
16. Moc nieznaną (powieść)
17. Igraszka losu (szkic do powieści)
18. Rybak (nowelka)
19. Wolna trybuna
20. Harcerze z nad Dżwiny (wiersz)
21. Harcerska noc (wiersz)
22. Apel do rodziców naszej młodzieży (ankieta)
23. Dział dla dzieci
24. Kronika
25. Odpowiedzi Redakcji

Redakcja i Administracja: Dzisiaj, ul. księdza G. Piramowicza 1.
Redaktor „Naszego Głosu“ przyjmuje we czwartki i soboty od 17—19 godz.
Administracja czynna codziennie oprócz świąt, od 17 do 19 godziny.

Cena prenumeraty bez przesyłki rocznie: 5 złotych.

Ogłoszenia: za drobny wiersz przed tekstem 50 gr. w tekście 35 gr., pod tekstem 25 gr. Za wiersz garmontowy podwójnie.

NASZ GŁOS

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-NAUKOWY I LITERACKI

PIERWSZEMU MARSZAŁKOWI POLSKI

Józefowi Piłsudskiemu

Czcigodnemu Solenizantowi

w hołdzie!

Młodzież polska najdalszych Kresów wschodnich z północnej Wileńszczyzny, z miasta Dżisny, ślubuje dozgonną wierność Ukochanemu Wodzowi, Genjalnemu Bohaterowi «Cudu nad Wisłą» w dniu Imienin pierwszego Marszałka Polski Odrodzonej.

Oby dzień Dziewiętnastego Marca, był świętem zjednoczenia wszystkich stanów w Ojczyźnie Wolnej, Niepodległej, Szczęśliwej...

Oby nikogo nie brakło pod sztandarem Wielkiego Człowieka w szarym mundurze legionisty...

Obyśmy w tym dniu Bratniej Zgody wszystkich Rodaków umieli czcić Ofiarnika, co trud i mękę swego żywota złożył na ołtarzu dobra społecznego i honoru narodowego.

A wtenczas nie powie historia, że oślepieni prywatą zapomnieliśmy o Idei, co się wcieliła w sercu Człowieka, co wystrzelił myślą ponad czasy, które Go wydały, ponad ludzi, wśród których żyje...

On bowiem miliony dusz skupił w sobie—i zanie cierpi. On «dumny», on «wyniosły», on czuł patrijota i stróż etyki społecznej i narodowej. On, co śni spokojnie w cieniu zwycięskiego miecza swego, Pogromca anarchji Wschodu europejskiego, ongiś szlachetny Konspirator i rzecznik wolnego człowieka w Wolnej i Niepodległej Ojczyźnie, dziś nie koronowany monarcha w świecie polskiego ducha, skromny demokrat z Belwederu:



— — niech zazna w jesieni życia: ciszy—spokoju—radości!
 — — niech Mu danem będzie długo jeszcze cieszyć się Pol-
 ską Mocarstwową i Bohaterską Armją!

— — niech w gronie Najbliższej Rodziny, swych nad życie
 Ukochanych Córek już nikt i nic nie zażawi Jego oka, co umiało
 po bohatersku wrogowi spojrzeć w twarz, co umiało zmuszać do
 posłuszeństwa, co umiało obejmować najodleglejsze tereny marze-
 nia, by przyoblekać je potem w czyn.

Boże Dziejów Naszych, Boże Wodzów i rycerzy na-
 szych, Boże wieszczów i męczenników naszych:

wysłuchaj życzeń naszych i tych głosów najmłod-
 szego pokolenia, co umie jeszcze najsilniej kochać. —
 Boże! wysłuchaj modłów naszej młodzieży, stojącej na
 samej granicy Państwa, jako

„ czujna straż! “

Do nóg Twych, Ukochany Panie i Wodzu Nasz! ciśniemy się,
 by w Dniu «Braterstwa i Zjednoczenia Narodowego» by złożyć w
 dani to na co nas stać, a zawsze dla Ciebie, czcigodny Panie,
 stać nam jedynie:

...NA SERCA,
 NA ŁZY WDZIĘCZNOŚCI i DOZGONNĄ PAMIĘĆ!

Redakcja.



Na legjonowym zwycięstwa pergaminie...

Maczałeś usta swe
 we własnej krwi
 — — nie w winie.
 Szedłeś przez cmentarny las
 cichy, strudzony...
 Marszczyłeś brwi
 a wokół głuza obojętnych mas.

«Narodowy sen...
 Spij ludu, spałeś tyle

_____ — — — — —
 w niewoli byłeś tyle lat.»

Wsparty na mieczu
 Słyszysz armat huk,

a krew, co znaczy ich bojowy marsz
ich żołnierski chód:
zamieniasz w czerwień Amarantu!

Na polach bitew świst
na polach bitew
armatni stuk
Ty wsparty na mieczu,
słyszysz: huk!
Błysk — strzał. W bój
Pali się
Naokoło świat
Pałą się
ludzkie serca.

Zapada sen z niewoli lat...

Na bój! za mną!... Na okopy
Słyszycie huk?...
Błysk — strzał.
Pali się naokoło świat...
... zmarszczyłeś brwi...
słyszysz ich żołnierski chód
Idą... Już poszli... i ginęli.
Krzyk, jęk, świst,
armatni błysk—trup,

Szedłeś wciąż przez cmentarny las
cichy, strudzony:
..... marszczyłeś brwi
a wokół głusza obojętnych mas.

Już czas!
W bój! na legjonowym
zwycięstw pergaminie
stygmaty widzę Twojej krwi...—
legenda chwały idzie wzwyż,
nie ginie.

.....
Na legjonowym zwycięstw pergaminie
Stygmaty Twojej krwi
w Twym Czynie.

Piotr Pupin (kl. VII).



PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA.

(dawniej a dziś).

Dla narodu rycerskiego wojna nie była i nie jest zjawiskiem nowem, niezwykłym, lub rodzącem na dnie serca: lęk, strach, popłoch. Znamy galerję polskich matron, które pielęgnowały w synach swych kult bohaterstwa, ideę poświęcenia, nakaz samozaparcia się. Znamy też galerję wodzów nieustraszonych, którzy spędzali młodość w obozie, resztę życia na koniu w polu bitewnym. Znamy tysiące przykładów wielkiego męstwa w dziejach miast kresowych, podczas najazdu wroga. Znamy dzieła Sienkiewicza! Pamiętamy z kronik miasta Warszawy najpiękniejsze karty mieszczan i inteligencji warszawskiej, niejednokrotnie rzucającej na jedną kartę: śmierć albo zwycięstwo!

Wszystko to dowodzi, że Polska ma we krwi atomy «batalistyczne», które unosiły się zawsze na ziemiach polskich, od końca do końca. W Polsce szlacheckiej na ideał obywatela polskiego w herbowem i narodowem tego słowa znaczeniu składał się rycerz ziemianin, którego Kochanowski niejednokrotnie opiewał, pouczał i miał na względzie, którego Orzechowski w «tureczynach» zagrzewał do krucjaty, a Skarga surowo karcil za brak dyscypliny społecznej i narodowej.

W XVII wieku Polska nie zsiadała z konia wciąż zagrożona, wciąż patrząca na skrzydłach kusarji do boju. Dopiero XVIII wiek daje nieco czasu do wytchnienia. Czy na długo? — Żołnierz polski przybiera inną nazwę, treść zostaje ta sama. Raz nie nazywa się barskim konfederatem, kiedyindziej powstańcem, częściej—konspiratorem. I tak dalej, aż do r. 1914, który rozpoczął serję nadludzkich wysiłków, by ziemię odebrać tym, co gwałtem nam wydarli,—rozpoczyna się epepea żołnierza — tułacza, co borem, lasem ibzie, a o którym tak pięknie w «Panu Tadeuszu» grał na cymbałach, nie kto inny jeno polski Żyd z kresów Wschodnich—Jankiel.

Pieśń żołnierska ma w literaturze ludowej ustnej, niepisanej tradycję. Geneza tych anonimowych wierszy, znanych w przeróżnych przeróbkach i «dorobkach» jest okolona mgłą zapomnienia. Bo któż na wojnie ma czas do katalogowania ad hoc pisanych wierszy na tornistrze lub na grzbiecie konia okulbaczonego. Życie rodzi jednorazowo na nieznanym nam «prawach natchnienia» wiersze nieuczone, proste, szczerze raczej dla serca i ucha, aniżeli dla mózgu i oka. Ortografja szwankuje nam, rymy kuleją.

«Kto chce rozkoszy użyć,
Niechaj idzie w wojsku służyć,

Tam to rozkoszy użyje,
Naje się dobrze, napije
Lez gorzkich».

Proste, a za serce chwytające rymy tu znajdzie czytelnik w «Zbiorze pieśni polskich i ruskich» Wacława z Oleska (z roku 1833). Że te wiersze są ludowe, nie bardzo uczone i wykwintne widzimy w rymach samych:

«Witam, witam moSPANowie,
Czy daleko brat na wojnie».
«Dadzą mu z skarbu karabin,
Któremu w życiu nie radby».

Chłop woli orkę, a nie jest sympatykiem bezdomnej włóczęgi wrózek obozowych, co widzimy w następujących zwrotkach:

..Lepiej w domu cepem buchać,
Niż na wojnie bębna słuchać!!!
Lepiej w domu płoty grodzić,
Niż na wojnie marszem chodzić!!»

To tylko daje do myślenia, że najprawdziwszym miłośnikiem poezji jest chłop polski i ten bardzo domorośły pacyfista, nie wyrosły sztucznie w laboratorium Marksa. Tu «życie» pana chłopą mówi, nie «doktryna». Nie będziemy w błędzie, jakoby wiersze te, i tym podobne, były grubo późniejsze, np. z doby Mickiewicza. Zebrał je, później, dopiero Wacław z Oleska. Ale nie jest wykluczone, że odrzuciwszy warjanty sam rdzeń pomysłu tkwi w fantazji ludu staropolskiego, możliwe, że z 16 wieku jeszcze. U Reja spotykamy w «Żywocie» słowo — żołnierz. Inne, jak «karabin» to wytwór czasów nowszych, w zwrotkach dodatkowych. Mamy «Skarżę «żołnierza» z «duszą» chłopą gdzieindziej jeszcze:

«Kiedy żołnierza werbuja,
Złote góry obiecują,
Potem tylko cennik dają,
Za to zdrowie odbierają
I życie».

Prawda, tu woła donośnie instynkt samozachowawczy, ale obok lęku jest świadomość, że wobec śmierci wszyscy są równi, a chłop na wojnie jest wyniesiony do szlachectwa, honoru wojskowego):

«Chociaż żołnierz obszarpany
Przecież idzie między pany».

Zaciąga się nie z lęku przed żandarmerją, ale z obowiązku:

W bębny, kotły zabębniłi,
Na wojenkę zatrąbili:

Starsza siostra brata miała,
 Na wojenkę go wysłała,
 W prawą rączkę miecz mu dała,
 Sama również zapłakała.
 Nie płacz, nie płacz, siostrze, brata
 Powrócę ja za trzy lata.

Powyższy wyjątek jest łatwy do sprawdzenia w rękopisie (nr. katalogu 377) z tytułem «Silva rerum» z XVII wieku, w bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie. A więc cofnęliśmy się aż do 17 wieku, choć i to możliwe, że też przepisywacz przepisał o odpisu lub z podsłuchu, lub oawet z pamięci po «iks» latach. Oto mamy pobieżnie szkicowane najogólniejsze szczegóły o «pieśni żołnierskiej»—dawniej.

A dziś? czasy się zmieniły, ludzie też. I pismo i nuty łatwo dziś utrwalić. Ale serca i uczucia zostają niezmiennie. Jak przed wiekami, tak i dziś płacz matek za utraconym synem jednakiej mocy, szczebiot kochanki na kwaterze wojskowej, taki sam, jak za czasów Reja. Jęki konającego żołnierza nie zmieniły się. Zmienić się mógł mundur, sublematy, broń—nie serce! Z roku 1916 mamy do zacytowania wiersze Tetmajera K. Są one ciekawe. Pochodzą z doby wojny światowej, kiedy gruba «Berta» święciła triumfy, a mózg ludzki ukorzył się przed maszyną w tak futurystycznie urbanitów i maszynistów fabrycznych, «Gdy wyjdzie jako mosiadz za krawędzie polemik, w ziemię, jak posąg się wślupi, gdy ustanie, życie wznowiona narzędzie precz, odrzuciwszy płaszcz i zaduch trupi, i złotym światu otrąbi się rogiem: dewizą będzie mu Stal—Cytra—Bogiem!» Był czas, gdy Europa była pod urokiem germańskiego Tora, co trzyma druzgoczący młot w dłoni.

Mało znana poetka doby wojennej Anna Sokołowska wyjerkiem Eumenidy:

«Wołamy oszalałym wyciem
 Głodu, co w trumny nasze dzieci składa!
 Wichrami śmierci, co huczą: «Zagłada!»
 Syczeniem ognia i powiewem morów!
 Loskotem w próchno obalonych borów!»

Militus (kl. VI).



Głosy poetów polskich w dobie Polski wyzwalającej się (1914—1918).

Kazimierz Tetmajer:

„O karabinie polskiego żołnierza,
śmiertelny kwiecie bujny ponad kwiaty!
W tobie lud święci broń swego rycerza,
w przędzy mąk swoich, wijąc się szkarłaty!
Tyś poświęconą jest arka przymierza
między dawnymi a nowymi laty,
do ciebie serce okrwawione wiodło,
za tobą tęsknił ból—tyś Polski godło!”

Henryk Zbierzchowski:

(„Polskiemu dziecku“).

„Baw się i młodość swą hartuj chłopaku,
Wśród szczęku szabli i tętentu podków!..

Noś w swoim sercu tę świętą spuściznę,
Po hasło dziadów twoich bohaterskie.
— Najwyższem życiem jest życie żołnierskie,
Najśłodszą śmiercią jest śmierć za Ojczyznę!..

Edward Słoński:

(w wierszu do syna swego).

„O synu mój, na wszystkich frontach
od płowej Wisły aż po Ren,
przy zapalonych stojąc lontach,
my swój o Polsce śnimy sen.

Lecz synu nie mów nic o zdradzie!
to w niemilknącym huku dział
nasz sen rycerski, sen o szpadzie,
wreszcie się dzisiaj jawą stał.“ (z r. 1915).

Józef Mączka:

(„Rozkaz“).

„Przyzwijcie wszystkie nadzieje!
Przyzwijcie wszystkie wiary,

i święćcie niemi miecze!
 Oto się piszą dzieje:..
 Nad Polską dymią pożary —
 W pożarach Wolność dnieje!..
 Krew, krew, co z ran wyciecze,
 dopełni dzisiaj miary!..“

J. Relidzyński:

(„Testament“).

„O tchórzów zgraja! co jeno pamięta
 bicz hańby, miecza przypomniawszy chwały,
 i tak nad Polską, jak nad trupem kracze!“

„... a cóż słowa
 choćby najbardziej szumne, kiedy kraczą
 w krąg mitralieczy? Zresztą, bo kupiecką
 rzeczą rachunek i dla niego chowa
 Bóg kupce z łokciem— żołnierską jest rzeczą
 walczyć i naprzód iść, a my żołnierze!“

Wł. Orkan.

„Gdzież, Warszawo milcząca,
 Twoje dawne dzwonniki,
 Twoje bardy, gęźbiarze, Or-Oty?
 Owa rzesza grająca
 Na różne harmoniki,
 Rozpylono po murach tęsknoty?“

J. Starzewski:

(„do bezczynnych“).

„Kara w was leży. My sędzić nie będziem;
 Polska ż łask drzewa owoce i liście
 rzuci wam złote, lecz kiedy orędziem
 Synów wzywała wówczas—nie przyszłście“.

L. H. Morstin:

„Za wiele znaczyła w życiu polskiem literatura, by mogła
 w przyszłości majestat swój umniejszyć, stać się płatną nałożnicą
 mieszczańskich upodobań, albo ograniczyć się do roli roztrzasań
 ogólnoludzkich psychologicznych zagadnień. Nie stanie się też

poezją kooperatyw i związków robotniczych, nie będzie odbierać cyfr przez stowarzyszenia wydanych pieniędzy, nie pójdzie na usługi przemysłu i handlu krajowego.

Ona, siostra rycerza i bojownika wolności kochanka, idąca w lazurowym wianku obok konia bohatera, zostanie Polski triumfującej nieukojoną tęsknotą, jak była nią za czasów Polski wojującej!

„Bo takie jej święte posłannictwo!“

Zebrał Tyrteusz, kl. VII.

Wiersz o Marszałku Piłsudskim:

(z almanachu poezji legionowej).

Nie chciałeś czapką popa z Kronsztadtu
gasić wolnego ducha narodu,
ani ciał polskich dać smagać batu
ani serc poić zachodem Wschodu.

Tyś poznał dawne, wieczne różnice
Tyś zaznał mękę turm i Sybiru —
— dlatego obnosisz lice
od błot mazurskich po brzegi Styru.

Burzysz na Kresach hańbiące mosty —
Budujesz przedział... Walczysz, więc ranisz...
Zaświeć pożary, Wodzu! Cel wzniosły,
Przyświeca łunom, gdy Ty hetmanisz!

Wodzu! Tyś Twórcą! Tyś, jest, byś burzył,
co zwie się „Polsza“ i zwie się „Polen“.

napisał Zygmunt Łubicz.

Opis cytadeli magdeburgskiej.

podług relacji K. Sosnowskiego w pracy:

„Z legionów do Magdeburga“.

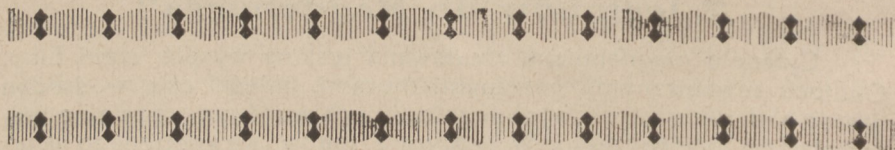
Cytadela magdeburgska zbudowana jest na wyspie rzeki Elby. Okolona zewnętrznymi, potężnymi murami, mieści ona w środku szereg budynków wojskowych, wzniesionych w różnym czasie i o najromatrzem przeznaczeniu. W jednym z rogów wewnętrznego dzie-

dzińca cytadeli odgrodzono dość obszerny czworobok, zamknięty z dwóch stron murami starych fortów. Dwa pozostałe boki od strony dziedzińca zamyka wysoka, mocna palisada, z poza której widać dach piętrowego pawilonu. W czasie pokoju odsiadawali swój termin oficerowie armji niemieckiej, skazani na karę twierdzy za udział w pojedynku, lub za inne przestępstwa. Stałem z bijącym sercem u wrót palisady, feldfelbel pociągnął za dzwonek i po chwili ze wzrószeniem ścisnął dłoń Komendanta; jego siwe, dobre oczy patrzyły na mnie ciepło i serdecznie. Komendant wyglądał nieświeźnie, — dowiedziałem się wkrótce, że poważnie chorował w więzieniu, zwłaszcza podczas zimy nie dopisywało serce i dokuczał reumatyzm, czuł się wówczas tak źle, że na skutek zaleceń lekarza garnizonu, władze były zmuszone udzielić pozwolenia na wyjazd do miasta, gdzie Komendant brał kąpiele i poddawał się różnym zabiegom leczniczym. Stwierdziliśmy wnet obadwaj, że przez cały czas ubiegły, odbywaliśmy podróż po więzieniach wedle jednej marszruty, w tym samym czasie i w analogicznych warunkach. Różnica w traktowaniu zarysowała się wyraźnie dopiero w Magdeburgu. Komendant, obejmując niejako rolę gospodarza, oprowadził mnie po pawilonie, który aż do końca niewoli miał być naszą wspólną siedzibą.

Pawilon stał tuż przy palisadzie, równoległe do niej. Reszta czworoboku zajęta była przez spory, niebrzydki ogródek. Rosły tam różne jarzyny; jedna kwatery obsiana była tytoniem, uprawiana ze szczególną pieczołowitością przez dozorcującego feldfelbla. Nawprost pawilonu po przeciwległej stronie ogródka, wznosiły się wewnętrzne ściany wspomnianego już starego fortu. Dwaj żołnierze w pełnym uzbrojeniu pełnili wartę u wrót palisady.

Cały parter był wolny, oprócz jednej izby, w której mieszkał feldfelbel. Strome, drewniane schody prowadziły na piętro, podzielone wąskim korytarzem. Pierwszy pokój po lewej stronie, wychodzący na ogródek, był przeznaczony dla mnie. Komendant zajmował dwie izby po tejże stronie w końcu korytarza: w jednej z nich sypiał — w drugiej jadł, pracował, odpoczywał. Wszystkie ubikacje z przeciwległej strony korytarza były puste i zajęte; w niektórych nasz feldfelbel urządził sobie improwizowaną suszarnię tytoniu. Wszystkie drzwi stały otworem; pawilon wraz z ogródkiem stanowił zamkniętą całość w obrębie której Komendantowi przysługiwało prawo wolnej niekrepowanej cyrkulacji. Jedzenie przynoszono mu z pobliskiej restauracji.

(Z książki p. t. „Za kratami więzień i drutami obozów“ tom II, stronica XXVII, Warszawa 1928.)



List Józefa Piłsudskiego z 15 marca 1917 r.

pisany do profesora N. w Krakowie.

Kochany i szanowny Panie Profesorze!

W odpowiedzi na pańskie zapytania, które rozumiem, że są męką nie pana jednego, śpieszę skreślić parę słów.

Być może, że się wydadzą one niedostatecznie jasne; niech trudne położenie, w jakim się znajduję, usprawiedliwi mnie pod tym względem. Gdy 6 marca wyruszył w pole obliczałem wiele przeszkód materialnych i moralnych, które napotkałem na swej drodze, ujmowałem w rachubę opór bierności i niechęci ze strony społeczeństwa, za mało jednak brałem pod uwagę stanowisko tego, co z konieczności stanowić musiało *vis maiov* całego przedsięwzięcia — stanowisko tego czy innego państwa, przy pomocy którego siła polska wyrosnąć mogła.

Teraz po dwóch latach ciężkich doświadczeń i prób, jeżeli powiedzieć o sobie mogę, że wróciwszy z tem doświadczeniem powtórzylibym z pewnością próbę 6 sierpnia 1914 roku, to zarazem byłbym znacznie ostrożniejszym w metodzie przeprowadzenia zamiarów, cała sprawa, jak mi się zdaje, polega na następującem. Oba państwa centralne nie mogą w jednej chwili zmienić zasadniczych rysów polityki swej względem Polski, polityki, która w pierwszym rządzie odznacza się szaloną nieufnością względem Polaków. Nieufność wywołuje przy każdym kroku tysiące zastrzeżeń, które znów natrafiają na użyźniony stuletnią pracą grunt tradycji stosunków austro-niemiecko-polskich. To znaczy, że każdy krok, każdy środek już w swem założeniu, a tembardziej w realnem przeprowadzeniu, natychmiast wywołuje antypolskiego wilka z lasu, wilka przyzwyczajonego zdawna szczyrzyć zęby, nigdy zaś — odrębności kultury narodowej, czy poczucie godności i honoru narodu polskiego. W ten sposób zawsze ma się wrażenie, że oba państwa centralne systematycznie jedną ręką niszczą to, co drugą usiłują budować. W chwilach zaś kryzysów zastrzeżenia te i nieufność doprowadzają często do położenia, gdzie się wprost zatracą minimum polskości w sprawie i człowiek staje w położeniu jakiegoś Botokudy lub syngalera względem którego uprawiana jest polityka kolonialna z całą swoją krasą i jędrnością.

Jest to jedna sprawa, druga leży w nas — Polakach. Tu mamy do czynienia ze zjawiskiem wychowania w niewoli, w systemie ugody ze wszystkimi i ze wszystkim, bez honoru i godności, z poczuciem lęku przed każdym większym zadaniem, branem na

własne barki. Nie przypominam sobie w ciągu ubiegłych paru lat ani jednej chwili, ani jednego kroku, który nie był nacechowany tą swoiście polską cechą konkurencji in minus, licytacji prowadzącej nie do góry, ale odwrotnie, zmierzającej do dołu. Gdy tylko kto gdzie wystawi jakie żądanie, znajdzie zaraz mnóstwo „doświadczonych” ludzi, którzy orzekną, że jest ono za wysokie, że go z tej czy innej strony obciąć należy, aby było „realnem”, ba znajdzie się natychmiast grupa czy człowiek, który zaofiaruje swe usługi, aby uczynić maugeable, a stanowisko tych, od których się żąda, bardziej wygodnem. Jeżeli mówię wygodnem i stawię cudzysłów, czynię to rozmyślnie, nie mogąc dla określenia pojęcia tego słowa. Ta metoda nie posuwa ani o jeden cal żadnej sprawy naprzód, przeciwnie wszystko gmatwa i nie czyni żadnego realnego kroku dla ujęcia jakiegokolwiek sprawy w sposób dogodniejszy pod względem politycznym, chociażby jednostronnie któregośkolwiek z państw centralnych, zadawalnia jedynie instynkty kolonialnego stosunku do Polaków, pozostawiając treść rzeczy zupełnie na boku, gdyż ostatecznie Polacy Botokundami ani Syngalerami nie są i na wszelkie kolonialne metody odpowiadają zwykle zwiększonym oporem bierności i wzrastającej niechęci do wszelkiej nowej próby.

Tak było w ciągu ubiegłych dwóch lat z polityką i ideą zwaną w Galicji „legjonową”, tak samo jest i teraz z inną polityką zwaną „realizacją aktu 5 listopada.”

Dla człowieka, jakim jestem, wyrosłego z walk, położenie jest nadzwyczaj ciężkie, gdyż w atmosferze w której kształtował się mój charakter i metody pracy, przyzwyczajony jestem do zawierania jasnych i dokładnych umów, do szanowania tych umów bez ariere peusée, lecz zarazem żądającego uszanowania i wszystkiego, co jest honorem i poczuciem godności u siebie. Zarazem nie umiem nigdy przystosować się do metod trochę trącących Syngalerem, gdzie po zrobieniu wielkiego krzyku wewnątrz — nazewnątrz wszystko wydają się podobnem do pieszczotliwej fali, łagodnie szmerzącej u stóp pałaców. Tyle co do ogólnego stanu rzeczy. Co się tyczy spraw legjonów, o które Pan pyta, drzę o to, by raz jeszcze na barki młodych żołnierzy nie spadła jakby kara za to, że wśród biernego i nieszanującego siebie społeczeństwa byli uosobieniem walki czynnej o prawa i honor narodu. Drzę tembardziej, że nie jestem z nimi, by w ciężkiej chwili próby być im pomocą i ostoją lub przynajmniej znosić razem z nimi ciężki krzyż, który wypadło im nieść na barkach. Rozumie Pan dobrze, że dotąd najbardziej z nim jestem związany i chociaż los kazał mi być w obecnej chwili politykiem, to serce i uczucie ciągnie mnie tam, gdzie są oni, dro-

dzy żołnierze i towarzysze broni. Dotąd jestem o tyle z nim, i że los swój najściślej wiąże z ich losem, z nimi upadam z nimi się, wznoszę. Naturalnie mówię o żołnierzach, nie o tej zarazie hańbiącej żołnierstwo, o bohaterach „tyłów“ stanowiących przekleństwo losu polskiego żołnierza wielkiej wojny światowej XX stulecia.

Pyta Pan o P. O. W. Naturalnie, stanie się tak, jak Pan przypuszcza. Z chwilą rozkazu Rady Stanu staną oni pod broń, tak jak ongiś w sierpniu stanęli strzelcy na mój rozkaz. Te nowe żołnierzyki są szczęśliwi teraz o swych poprzedników, gdyż mogą usłuchać wezwania swego rządu, gdy tamci są dotąd zależni od wszystkich na Bożym świecie, tylko nie od tego, do czego tęsknili w bojach krwawych, nad czym ich mózg się biedził w trudach bojowych — od własnego polskiego rządu któremuby przysięgli na wierność do grobu i za grobem.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania

J. Piłsudski.

Dźwina.

Uroczą Dźwina wolno bieg swój toczy,
Cicho, poważnie, jak królewna płynie,
Radując serca, zachwycając oczy,
Aż, hen, daleko gdzieś w Bałtyku ginie.

Gwiazdzistą nocą przy blasku księżycy
Srebrzystą taflą lustrzy się i mieni,
A księżyc patrzy w jej niebiańskie lica
A drzewa patrzą w toń — widząc swe cienie.

Dźwina pamięta polskich królów sławę
Ku czci Stefana nuci tęskne ody
Wspomina bitew rozognionych wrzawę,
Szumnych rycerzy dumne korowody.

Rzeko! pamiętasz te okropne chwile
Gdy krew powstańca barwiła nurt Dźwiny,
Szum drzew przydrożnych wspomina ci mile,
Że tu ginęły pięknych Polek syny.

Uroczą Dzwina wolno bieg swój toczy,
Cicho, poważnie, jak królewna płynie,
Radując serca, zachwycając oczy,
... i gdzieś daleko, hen w Bałtyku ginie.

D. Kasaty, kl. IV.

CZAS.

W dal szarą czas ucieka,
A my biegniemy wprzód
Czas—znojem dla człowieka
Czas mękę, bólem—trud.

Godzina za godziną,
Jak strzała szybko mknie,
Na świat przychodzą giną...
W pielgrzymim, błędnym śnie
Bo życie krótką chwilą,
Wśród pian w odmętach mórz;
Choć ludzie wciąż się siłą
By żyć wśród walk i burz.

A śmierć? śmierć cichym krokiem
Już tu, za nami wciąż,
Rok pędzi cwał za rokiem,
...i ssie z nas krew, jak wąż
W dal szarą czas ucieka,
A my? Biegniemy wprzód,
Czas? Znojem dla człowieka
Czas? Męką...

Bólem—trud!

D. Kasaty kl. IV.

Z pism ks. Grzegorza Piramowicza.

„W wymownym widzę ja człowieka, udanego bystrym i mocnym dowcipem tkliwego serca, i czy w pospolitej czy w swojej sprawie, żywem uczuciem poruszonego, i w tem poruszeniu mówiącego, i nic w nim nie widzę tylko człowieka. — Krasnomówca stawia mi się, jako mający nabytą biegłość sztuki, względem którego obojętnie jest, w jakiej rzeczy mówi, czy jakie w słuchaczu mocne uczucie sprawi. Wymowny nie traci czasu na przygotowanie, kształcenie mowy, nie szuka i nie układa perjodów: rzecz go sama zajęła, ona mu myśli, ona wyrazy podaje. W samem mówieniu stawiają mu się jak najmocniej obrazy, rzeczy; za temi, za żywem uczuciem idzie dobór słów i całe złożenie mowy.

Przeświadczenie o prawdzie, którą wprowadza poruszenie serca, którego ożywia, samemu głosowi różne natężenie i umiarkowanie nadaje. Inaczej ten mówi, który jest tylko krasomówcą.

Pojęcia jego są słabe i wyszukane, zimny jest i nieczuły, a chce udawać wzruszenia — cała bacność wymownego człowieka żeby słuchacz o nim zapomniał, a wszystką uwagę obrócił na rzecz o której słyszy: a ten zajęty sprawą, która się toczy, potrzeba Ojczyzny, ważnością rady, obroną niewinności, powołuje się wzruszeniem mówcy ani o mowie jego, o pięknościach, których jest pełno, o pochwaleniu mówcy nie myśli: I tem samem mówca dokonał tego, co sobie zamierzył.

Krasomówca sobą nie rzeczą zabawia słuchaczów swoich. Z upodobaniem i przepychem wyklada przed nimi ozdóbki mowy swojej, klaskanie i pochwała celem jego.

Ci, którzy go słuchają, zupełnie obrócenie na wytworne wyrazy, głaskani składnym tokiem mowy, mają sobie za obcą tę rzecz, o której mówi; mówca jest na celu ich pilności w słuchaniu ich pochwał i podziwienia.

— Człowiek mocno wzruszony a wynurzenia swego serca przesyłający w serca słuchaczów; człowiek potężnie skłaniający, albo raczej porywający wolę drugich, który, pełny będąc rzeczy, od siebie przedsięwziętej, przez moc słów, worównywających wielkości sprawy, przez wyrażenie uczucia swego, w oczach, twarzy, w postawie całej, zajmuje wszystkich „tem o czem mówi — ten jest prawdziwie wymownym“.

(Z książki p. t. „Wymowa i poezja dla szkół narodowych“, wydanej w Krakowie w r. 1792, cz. 1, roz. 2).

Noc Wigilijna pod Ökermezö

(Wspomnienie z Legionów).

Z imieniem Pierwszego Marszałka Odrodzonej Polski spotkałem się bardzo dawno, bo jeszcze jako uczeń klasy IV-tej słynnego gimnazjum św. Anny (Nowodworskiego) w Krakowie i członek tajnej patriotycznej organizacji młodzieży. Na łamach mianowicie Przeglądu Wszechpolskiego umieścił w r. 1903-cim już dobrze wówczas znany Roman Dmowski głośny później artykuł p. t. „Szlachetny Socjalista“ Niepodległościowiec jeszcze w owym czasie i antagonistą Caratu złożył Dmowski w tym artykule hołd ofiarnej, pełnej samozaparcia się duszy młodego rewolucjonisty, znanego dobrze na terenie Wilna i Warszawy. Studyjąc zaciekle rozmaitych Spehcerów, Haekłów, Darwinów czy Beblów nie podzielałem obaw Wodza endecji, aby socjalizm Józefa Piłsudskiego musiał koniecznie stanąć w sprzeczności z pielęgnowaną przezeń Polską ideą Niepodległościową... (no i miałem słuszną w 100%). Upłynęło następnie lat 10, w czasie których dochodziły o Nim tylko głuche echa...

Rozmyślać zacząłem na nowo dopiero, gdy jako nauczyciel gimnazjum I-go w Tarnopolu, zaskoczony w Krakowie wypadkami wojny światowej, stałem w pamiętną noc z 5-go na 6-go sierpnia 1914 r. na błoniach krakowskich, a słuch i duch mój kierowałem w stronę Oleandrów, gdzie pierwszy po roku 1864 wydany przez Komendanta „Strzelcom“ rozkaz wojenny, wszczynał nową Polskę z Rosją wojenną rozprawę.... Gdy następnie dnia 16 sierpnia zostały powołane do życia Legiony, imię Piłsudskiego, który „przekroczył był granicę zaboru rosyjskiego“ znajdował się na ustach wszystkich, tych nawet, którzy (Głos Narodu) tęsknili do przyjaciół Moskali... Mnie niebawem dziwna igraszka losu zaprowadziła na przełęcz Karpat i do krajów Korony św. Szczepana, gdzie, walcząc raczej o honor żołnierza polskiego niż o zwycięstwo, byłem przez szereg miesięcy świadkiem jego męki i losów tragicznych. U góry t. j. w K. K. „Komendo dar polnischen Legionen“ panowała jeszcze dezorientacja w stosunku do zadań polskiej akcji zbrojnej i polskiej racji stanu; z bolesnym zawodem wpatrywałem się w sercu w wyniosłą postać komendanta pułku, kapitana Józefa Hallera noszącego jeszcze na głowie — podobnie jak tyłu innych — wielkie czako austriackie z bączkiem. — Nerwy moje targała bezustannie rozpaczna jak dziki los Niewolników śpiewana do znużenia przez wynędzniałe i głodne rzesze — legionistów...

Bo my żołnierze jako psy,
Bezdomni my włóczędzy
Trapi nas Moskał, gryzą wszy
Dla Austrii, skrawka nędzy.

Ileż bowiem tragicznego patosu, a zarazem patriotycznego bólu mieściły te słowa?...

Odcięty od świata, wyczerpany śmiertelnie na skutek koszmar-nych przeżyć podczas bezowocnej dla nas bitwy pod Oekermezo, spotykałem Wigilię Bożego Narodzenia roku 1914-go na wysokim szczycie pod wyiskrzonym gwiazdami sklepieniem niebios w nastroju wysoce podniosłym. Poczta polowa przyniosła dobre wieści... Oto ukochany nasz Kraków nie tylko oparł się nawale moskiewskiej ale nie zapomniał o nas, nadsyłając smakołyki i pozdrowienia od znajomych.

Gdy łamaliśmy się opłatkiem, składając sobie nawzajem życzenia ujrzenia się na drugi rok w wolnej Polsce, wiara w lepszą przyszłość spłynęła jak balsam w zboląłą duszę... A w parę dni później nadeszła cudem jakimś wieść, jak się zdawało, nie do wiary, a jednak prawdziwa, wieść o czynach Józefa Piłsudskiego, który staczając nierówne zapasy na czele jednego pułku z całym korpusem wojska moskiewskiego—okrył pod Łowczówkiem—imię żołnierza polskiego blaskiem chwały rycerskiej. Tak to w noc grudniową 1914 r. gdy „było w Ojczyźnie laurowo i ciemno“, rzucili żołnierze pierwszej Brygady los życia swego na stos ofiarny ojczyzny, a dumna jej pieśń stłumiła jęki niewolników na wieki.

Tylko w noc Wigilijną pod Oekermezo wstępowała w serca nasze—t. j. 10.000 ludu wolnych w Polsce „siła fatalna“ zrodzona z Pieśni Wieszczą, a wcielona w Osobę Józefa Piłsudskiego od zarania jego młodości. Archanioł — Duch Dziejów — Polski odtrąbił w tę Noc ze Szczytów Tatrzańskich pobudkę Zmartwychwstania państwa...

Dziś u boku Wodza Narodu skupiły się legjony młodych bojowników o zgodę i jedność walczące; do rzesz tych coraz liczniejszych należy też młodzież gimnazjum dziśnieńskiego, na której prośbę tych słów kilka mych smętnych wspomnień legjonowych dla „Naszego Głosu“ z okazji obchodu 19-go marca 1932 r. skreśliłem.

Tadeusz Staniewski.



W rocznicę ukazania się 1-go numeru.

Nieraz pewne chwile w życiu człowieka, a z tem i w życiu całego społeczeństwa są ważne, pełne czci—prawie święte.

Takim dniem dla naszej Szkoły, a z tem i całej Dzisny było ukazanie się pierwszego numeru „Naszego Głosu“. Jakże dziwnie wyglądało to „nowourodzone dziecko“. Niedoleźnie wyciągało swoje rączeta (w postaci kartek z niewyraźnym drukiem) do Was, — do społeczeństwa. Mówiło ono. Kochani Czytelnicy, pozwólcie mi, niech ja między wami zostanę, niech urosnę, okryjcie mię szatą, a ja wzamian będę „Waszym Głosem“, będę tym głośnikiem, aby was każdy słyszał, nie tylko w ubogiej Dziśnie, ale poza Dzisną, po całej Polsce. Pozwólcie, niech zamieszkać między wami — dajcie mi przytułek!“ Jedni zrozumieli — co mówiło pisemko, inni zaś nie. Jedni chcieli, aby znicz kultury narodowej płonął na Kresach, innym było tego dosyć co mają, poco więcej żądać, lepiej być skromnym!!!

Jednak dobrych chęci było więcej, niż złych. Chęć pracy zwyciężyła wszystko. Rycerze stali w pogotowiu do walki z rozmaitemi przeciwnościami. — I zwyciężyli! Cześć ich pracy!

Pismo poczęło dojrzewać...

I dzisiaj — kiedy Redakcja, zawalona listami, prowadzi dalej woją misję; możemy stwierdzić, że weszła na właściwe tory. Pismo odnalazło siebie. Uznano ten fakt, że ma rację bytu, jest konieczne.

Redakcja.



TEATR SZKOLNY DZIŚNIEŃSKI W ZACISZU MORSKIM.

OBRAZEK SCENICZNY.

(Fragment.)

(DEKORACJA): Wspólna sala w willi nowoczesnej, położonej nad morzem. W głębi sceny widać oszklone drzwi z widokiem na побереże. Na prawo —dwoje drzwi. Na lewo—schody, wiodące na pierwsze piętro. Umebłowanie wykwinne. Na ścianach pozawieszane obrazy, w rogu sali, na postumencie rzeźba gipsowa. Przy ścianach obok drzwi wejściowych oleandry w donicach. Na scenie wypłatanе fotele, kanapka, stół. Na boku stoi mały stolik z patefonem.

Godzina popołudniowa. Dzień jasny, chwilami słoneczny.

Rzecz dzieje się w Gdyni.

OBRAZ PIERWSZY.**SCENA I. Sztamach — Okryński.****Okryński.** Ostatecznie pan już zdecydował.**Sztamach.** Tak. Wyjeżdżam bezpowrotnie. Jak pan widzi, jestem najzupełniej do podróży przygotowany. Czekam tylko na parowiec. (po chwili) Potem... gdzie oczy poniosą — w świat. (zniżonym głosem) Aby dalej, dalej. Prawdopodobnie zatrzymam się dopiero na południu Europy. (z naciskiem) Wyleczyć nareszcie chore serce i mocno nadszarpane nerwy. (z bolesnym uśmiechem) Chyba nie muszę tego panu tłumaczyć?!**Okryński.** (nieśmiało) Rozumiem pana inżyniera najzupełniej, (po namyśle) Jednak tyle lat, spory szmat czasu zostawić za sobą — i odejść.**Sztamach.** (zgryźliwie) Z goryczą. Coprawda, bardzo niepozorne słówko. Ta-ak, żal się wżarł we mnie, jeżeli wielbiciel morza, ja, czciciel wilków morskich uciekam stąd, jak spłoszony ptak. (Budząc się z zadumy) Sprzedałem panu moją willę, którą się szczyliłem tyle lat. Ostatnie dni trudu i wysiłku chciałem spędzić w samotni morskiej, a pan dzieło rąk moich nabył tak łatwo, zdaje się bez wielkich zachodów. W jakim celu dokonał pan tej transakcji — nie wiem. Nawet nie sililem się pytać, choć to bardzo tajemnicze, dziwne. (po chwili milczenia) Obserwowałem życie pańskie. Jako artysta-malarz byłeś pan tu wszystkich przedmiotem ciekawości. Nasza Gdynia miała swego malarza wtenczas, gdy jeszcze była osadą rybacką, rzecz można nadmorską wioską. Badałem nieco grunt pański wtenczas, grunt pod pańskimi nogami — czy pewny. I współczułem mu nieraz, gdy nędza gnębiła utalentowanego młodzieńca. (po namyśle) Dziś po tylu wydarzeniach, tak fantastycznych zmianach w panu i w pańskiej karierze, pozwoli pan, że zamienimy kilka słów na pożegnanie. Uderzymy palcem we wspólny akord, bo to nasze zetknięcie się pod moim, obecnie pańskim dachem uważam nadal za coś bardzo dziwnego, coś co wprost niesamowicie brzmi w uszach moich. Plusk wody morskiej zalewającej mury tego domu, niesiony na skrzydłach nierozwiązanej tajemnicy smutnego pobrzeża (nadśłuchuje). Słyszę wciąż akord niespełnionych marzeń (z uśmiechem, sztucznie) Zapomniałem o jednym, że jesteś pan odemnie młodszy: czas żłobi zwolna grób dla zbliżającego się do serc ludzkich nieszczęścia.**Okryński.** (zaniepokojony) O czym pan mówi? Czy pan inżynier żałował swej decyzji? Jeżeli tak, mogę się w każdej chwili cofnąć.**Sztamach.** No, nie... Pan źle mnie rozumiał. Nie myślę być w pańskich oczach objektem żitości. Proszę się nie trudzić i mówić

bez rozczulenia. Być oplakiwanym przez obcych — nie, nigdy! Niegodne to człowieka. (prostując się na fotelu) Grzbiet mój jest jeszcze twardy. Z nerwami to nieco gorzej, ale i z tego się wyleczę. Wróćmy jednak raz jeszcze do naszego, wspólnego tematu. — Nabył pan moją willę, bo raczej ja tak chciałem. Ten majątek przestał być dawno moją własnością, moim kapitałem. Siedząc na pogorzeliisku prawie, gdzie wszystko przestało istnieć dla mnie: mury, dach, krokwie zamieniły się dla mnie w bezładną kupę gruzu. (z uśmiechem) Oddałem, rzecz mogę — plac pusty — do zabudowania. Jak i co pan poczynie robić — to inna sprawa.

Okryński (wsluchany, mrużąc oczy) Więc to nasz wspólny akord, o którym pan przed chwilą powiedział.. Pocięszam się tem, że jesteśmy tak sobie różni, zupełnie odrębne światy..

(we drzwiach na progu staje Jan)

SCENA II. Jan — poprzedza.

Jan. Czy rzeczy już mam wnieść na statek?

Sztamach. Tak. Proszę więc dla mnie miejsce na statku, bo zdaje się, że będzie przepelnienie. I przy kasie bilet dla mnie kupić. A tu (wyjmuje monetę z kamizelki) dla Jana. Widzimy się mój dobry przyjacielu raz ostatni, nieprawdaż?

Jan.(nie może opanować wzruszenia, ściska niewolniczo kolana Sztamacha.)

Sztamach. Niech Jan nie płacze. Może się doczekasz chwili takiej, że powiesz głośno: tak się stać musiało. I ulga zaigra na twym policzku, starcze. A teraz, idź, pilnuj bagażu. To bagaż bardzo cenny, nie oddałbym go za nic w świecie! Rozumiesz. (Jan odchodzi)

SCENA III. Sztamach. — Okryński.

Okryński. (bystro patrząc przed siebie) Nie mogę nic wyczytać z ócz pańskich. A każde słowo uderza we mnie taranem. Ślepy lęk zaczyna mną targać, jakiś bezwiedny lęk, a to w samotni morskiej jest czasem niebezpieczne.

Sztamach. (z ironją, tłumiąc starannie maskowaną radość). Jesteś pan malarzem twarzy ludzkiej. Zawód ten uprawiasz pan od szeregu lat. Kiedy budowałem domy i zaludniałem to pustkowie chatami rybaków w nowoczesnym polskim stylu, kiedy powstały wspinał się pasady różnych współdzielni, pan z paletą malarską błąkał się po zaułkach głuchego pobraża i chwytął na płótno zamierające typy ponurych marynarzy, milczących filozofów morza..

Okryński. (głucho) Tak jest, ma pan słuszność, milczących filozofów morza..

Sztamach. A więc, panie artysto... należało i ten (wskazując na siebie) zamierający w bólu i znoju typ marzyciela zachować w galerji sztuki w obecnie... pańskich murach.

Powiedzmy, ot, tak — ze względów osobistych.

Okryński. (zapalając papierosa niedopalonego) Jaki pan inżynier zgryźliwy. Nie przypuszczałem nawet.

Sztamach (przechylając się na fotelu) Grajmy w otwarte karty! Wtenczas byłbyś pan innego zdania o swej posesji.

Okryński. Ale dlaczego właśnie dziś (nerwowo trąc dłonią czoło) „dziś“ chcesz mi pan wydrzec lut chwilowego szczęścia. Prawda, że doszedłem do majątku niespodzianie, za pieniądze nie moje, nie moje własne...

Sztamach. (zrywa się z fotelu) O... o!. Właśnie to chciałem usłyszeć na pożegnanie. To chciałem usłyszeć od pana. I (przypominając sobie) jeszcze jedno. Zgłosiłeś się pan wtenczas do mnie z propozycją kupna — kiedy... gubiłem się w domysłach... wreszcie roztrzygnęła ona... Sądziłem, że pamięć mej najukochańszej córki nie daje panu spokoju, że należy złożyć w jakikolwiek sposób ceniom jej — ofiarę. Bo jednak (z sykiem tłumionego bólu) panie artysto między nami stanął cień (z wyciągniętym palcem w stronę morza) niedokończonego portretu mej córki. (siada) Dzisiaj mogę spokojnie o tem mówić. Pan chciał wykorzystać jej próżność, iskrę sympatji i miłość do sztuki — nie przecz pan ruchem ramion — tak i wykorzystać to, lecz ja przedwcześnie zerwałem nici, jakie pan snuł wokół jej niewinnego uczucia. (milczenie).

Okryński. (po chwili, błądy, drżący, oniemiały) To ostatnie pańskie życzenie było to pogorzeliśko na któreś pan mnie poprowadził tutaj. (niemal szeptem) Zaczynam rozeznawać głosy „z za grobu“ Rozumiem, niewidzialna ręka wiodła mnie w te progi, by zadecydować o pańskiej woli. Ha, ha, zakupić to cmentarzysko z zaklętym duchem nieboszczki. Szatańska pułapka panie inżynierze, ale ja jeszcze nie myślę być spirytystą. (świsł syreny okrętowej) Jeszcze chcę żyć jako wolny artysta.

Sztamach. Teraz czas mi odejść. A.. a.. drgnąłeś pan na odgłos syreny. To w takim razie przypomnę pewien szczegół. Tego samego parowca „Jutrzenka“ syrena rozdzierała bólem pierś ojca. On jechał wtedy ujrzeć z włoki najdroższego dziecka, wydobyte z fal okrutnego morza przez zacnego Szmida. Stary rybak telegrafował po mnie. Zawyla we mnie rozpacz, gdy przywarłem ustami do trupiej twarzy dziecka bezradnego, co padło z pańskiej winy. Tęsknota za pięknem, utajona w pańskiej sile tworzenia zawlokło tam.. na dno..

w nicość. Ustępuję panu, odjeżdżam na zawsze... Lecz wierzę, że was dwoje zostawiam tutaj na morskiem pustkowiu: ją i pana.

Okryński. (trąc ręką oczy) Koszmarny sen! Jesteś pan bezli-
tosny. Biczuj mnie pan, jestem bezsilny wobec cienia.

Sztamach. O teraz możesz pan szukać nowych modeli. Podob-
no wynajęłeś pan willę młodzieży szkolnej na letnie wywczasy. Wi-
dzę nadchodzące tu pensjonarki...

Okryński. (nakazująco) Ci—cho...
(zasłania swoją osobą drzwi oszklone, zamykając je za sobą dyskretnie).

Sztamach. Zbrodniarzu! (zrywa się, odpycha od drzwi Okryń-
skiego, wychodzi szybkim krokiem w stronę pobrzeża)

Okryński lekliwie patrzy za odchodzącym, zapala powoli papie-
rosa i zbliża się do sztalugi malarskiej, przesłania dłonią oczy i bada
szkicowany profil kobiecy).

(za kulisami przeraźliwy świst syreny, zdała mającą sylwetki
grupy młodzieży szkolnej).

Teatroman (kl. VII).



Wieś na kresach wschodnich.

I. BUDYNKI.

Najwyraźniejszym budynkiem jest mieszkanie. Chata wiejska jest bardzo prymitywna. Składa się zazwyczaj z sieni i izby. Często jednak są dwie izby, a wtedy sień znajduje się w środku. Drzwi wchodowe są niskie, zamykają się dniem na „kruciołkę“, a w nocy na zasuwę. Sień niema ani okien, ani sufitu. Stąd łązi się zapomocą drabiny na strych, gdzie suszy się bieliznę i przechowuje się mięso. Podłogi nigdy niema, tylko ubita ziemia. Wchodzimy do izby. Przy wejściu stoi jedyny w mieszkaniu, wielki piec kuchenny. Światła dostarczają małe okna, które na zimę są do połowy przysłonięte dla ciepła.

Często w izbie jest podłoga. Ściany są wyklejane gazetami — makulaturą. Na nich wiszą fotografie krewnych i znajomych, najczęściej w stroju wojskowym, rosyjskim. Oprócz tego wiszą święte obrazy, jeśli zaś w domu prawosławnym, to złożone ikony które są okryte ręcznikami. Pod pułapem są zatknięte sierpy, kosy, zaś w chatach katolickich święcone zioła. Umieblowanie składa się ze stołu, zydlu, okutej skrzyni i łóżek. Ubranie wisi na gwoździach, lub drewnianych hakach, często też są szafy.

Na oknach stoi moc wazonów, z kwiatami. Obok chaty stoi ławeczka. Inne zabudowania przytykają do chaty. Najważniejszymi budynkami są: chata, chlew i stodoła, zwana punią. Łażnia jest własnością kilku gospodarzy. U zamożniejszych są jeszcze inne budynki jak: śpichlerz t. zw. „świron“, stodoły, zwane tokami, i osiecie. W tokach młóci się zboże, w osieciach przerabia się len. Biedniejsi gospodarze korzystają z tych budynków za pewną opłatą. Wszystkie budynki są kryte słomą, a zbudowane z drewnianych bali, przykładanych mchem.

II. UBIÓR.

O ubiorze niema co mówić. Specjalnego ubrania dla naszej okolicy niema. Materiał na ubrania robią kobiety na krosnach. Do wyrobu takowego służą nici lniane i wełniane. Przędza jest też wyrobem wsi, robią ją na kołowrotach. Często są piękne kilimny i derki (huńki). Wiele się używa kozuchów. Każdy ma siermięgę z grubego sukna. Obuwie mają skórzane, pastuchy noszą łapcie z łyka, lub, co się uważa za luksus, kierpcie ze skóry, zwane „paształy“. Za nakrycia mężczyznom służą czapki, kobietom chustki. Niektórzy noszą ogromne czapki kosmate także latem. Starzy lubią i w maju nosić kozuchy, mówiąc, że jest im tak „ciepła i charaszo“ (ciepło i dobrze). Latem, w święta, mężczyźni noszą białe koszule z czerwonymi wyszyciami. U kobiet nieodzowną jest duża, kratkowana chusta, która służy też na głowę i zamienia cieplejsze ubranie na lżejsze. Przy pracy, szczególnie przy gotowaniu, używane są fartuchy. Bielizna zgrzebna, za na krycie służą derki. Coraz częściej wchodzi w użycie materiał fabryczny.

III. DOCHODY.

Najważniejszym źródłem dochodu był przedtem len, teraz wszystko daje nikłe dochody. Podatki są ogromne — trudno żyć wieśniakom. Len teraz dostarcza materiału do wyrobów. Owce, oprócz mięsa dostarczają wełny i owczynek na kozuchy. Mleko, ci co mają 3—4 krowy, wożą do mleczarni, biedniejsi sami robią masło w drewnianych bojkach, lub sery. Jajka są wszystkie sprzedawane, gdyż potrzeba pieniędzy. Przemysłniejsi robią cebrzyki, łyżki, koszyki, ale to daje mało dochodu. Zbożę teraz też jest tanie. Dochody wieśniaków są małe, ledwie wystarczają na potrzeby, lwia część idzie na podatki. Z trudem ludzie żyją, ot tak: z dnia na dzień.

J. Olechno.

W setną rocznicę śmierci Goethego.

(1832 — 1932)

Miłość cierpienie i twórczość oto podłoże, na którym kształtuje się i potężnieje duch twórcy „Fausta” wielkiego „księcia poetów”. A duch ten, to zaiste niewyczerpana skarbnica, z której nie tylko rodacy jego, lecz i cała ludność czerpie i czerpać będzie treść życia wewnętrznego.

Życie Goethego — to ciągle udoskonalenie się, to nieustanna, systematyczna praca nad samym sobą. Otaczał się zawsze przedmiotami artystycznymi, a więc przedmiotami działającymi na zmysły — dla niego, typowego realisty jest to jedyna do kształcenia się droga.

Ale przez to właśnie przypatrywanie się, przez jemu tylko właściwą zdolność obserwacji, poznaje i wywleka na światło dzienne najistotniejszą i najbardziej dotychczas niedocenianą część człowieka — duszę.

Dusza z ciemności ku światłu, szarzyzny życia ku lepszym, szlachetniejszym celom dążąca, dusza z jej wzlotami, i upadkami, pragnieniami i tęsknotami, otrzymuje teraz na łamach literatury prawo obywatelstwa — jaśnieje w „Fauście” — koronie całej twórczości Goethego.

Czyż tylko drogą rozważania i obserwacji doszedł do tak wielkich rezultatów, czyż nie odgrywały tu roli żadne osobite przeżycia?

Nie! Młodość ma swoje prawa i o swoje prawa się dopomina. Dług młodości spłacił Goethe szumnym wesołym życiem, a jak je później nazwano — „szalonym czasem.” Zaproszony zrazu tylko na krótki przeciąg czasu do obejmującego właśnie 18-letniego ks. Karola Augusta stał się wkrótce nieodłącznym tego ostatniego towarzyszem. I od tego czasu datuje się okres, który takie zgorzsenia wywołał wśród ówczesnego społeczeństwa. Zarzuty są oczywiście kierowane jedynie przeciwko Goethemu, nazywa się go uwodzicielem, „Fürstendiener'em” i. t. d.

Nieumiarkowana żądza życia znalazła jednak upust jedynie w artystycznych zabawach i igraszkach. Rodzinne jego miasto, Weimar, staje się widownią licznych przedstawień amatorskich, torujących drogę na szerszą skalę pomyślanemu teatrowi, którego dyrektorem jest przez pewien czas sam Goethe.

Nadzwyczajna wprost uniwersalność Goethego pozwala mu na połączenie genjuszu poetyckiego z badaniami naukowymi i wszelkimi objawami społecznego życia. Równowaga duchowa i wewnętrzna

harmonja pozwalają mu wyjść zwycięsko z każdej sytuacji, skąd też pochodzi jego spokój i jasny optymistyczny pogląd na świat.

Goethe wierzy w postęp ludzkości, wierzy we wzajemne zbliżenie się narodów, w niezmierną potęgę ducha ludzkiego.

Za lat 50 ileż to nowych wynalazków się poczyni, o jaki wysoki szczebel rozwoju ludzkość się wzniesie!... Goethe żałuje, że tego już nie zobaczy, ale w tryumf dobra niezłomnie wierzy!..

I oto minął cały wiek, całe stulecie od śmierci Goethego. Cóż widzimy teraz z ucieleśnionych ideałów genialnego Twórcy?

...Posunęła się daleko wiedza techniczna, poczyniono tysiące wynalazków i ulepszeń, a przecież do uszczęśliwienia ludzkości jeszcze tak daleko chyba pozostało, jak i od czasów Goethego. Pozostały, a może nawet pogłębiły się spory społeczne i narodowe. Pozostały, a może nawet pogłębiły się spory społeczne i narodowe i pogłębiła się jeszcze bardziej nienawiść. Cóżby powiedział Goethe, gdyby zobaczył obecny stan rzeczy, a gdyby choć zobaczył Ojczyznę swoją? — Niewiem... No, oczywiście nie dowiem się tego nigdy z tej prostej przyczyny, że Goethe powrócić nie może, co jest dla niego chyba lepszem.

Dla nas zaś byłoby lepszem (i to napewno!) częściej zwracać się do tego źródła ożywczego, jakim jest Goethe, o którym napis na grobku głosi;

„Hier ist ewige Jugend bei niemals versiegender Fülle.“

Germanistka (kl. VII).



MOC NIEZNANA.

Powieść (c. d.)

ROZDZIAŁ X

Już tylko mila do Komorowa. Po godzinie drogi zobaczył zdaleka miasteczko z wysoką wieżą kościoła. Ponieważ szedł szybko, nie spostrzegł prawie jak znalazł się pod Komorowem. Duża osada przedzielona traktem na dwie części. Po prawej stronie część wyższa, schludna, lewa niższa i brudna, zamieszkała przeważnie przez ludność żydowską. Za osadą w kierunku Radzyna, na wzniesieniu, jakby królując nad obu częściami osady stał dwór Komorodowski — stary

jecz dobrze trzymający się pałac w stylu wiślano—bałtyckim. Otoczony niżej ciągnącym się gęstym zielonym parkiem wyglądał zdaleka, jak biały kwiatek bujnej koniczyny, zapomniany na tle zielonej trawki i pokryty przypadkowo na wierzchu małym ciemnym listkiem.

Witold wszedł do pierwszego napotkanego zajazdu, by oczyścić się z kurzu i zjeść cokolwiek, gdyż nic tego dnia jeszcze nie jadł. Tu też chciał zasięgnąć nieznacznie informacji o dworze miejscowym. Jakaś przeraźliwie gadatliwa żydówka, istna trajkotka, podała mu szklankę herbaty, patrząc nań badawczo. — O, od tej dużo rzeczy można się będzie dowiedzieć!—pomyślał. Zanim mógł się zorientować w sytuacji, posypały się, jak z rogu obfitości:

— Pan nie tutejszy? Pan może jesteś z Warszawy?

Pan musi do pana proboszcza, pan pewnie jesteś organista, czeka na organistego... i. t. d. i. t. d...

— Ani idę do księdza, ani organistą jestem — przerwał tę grę chrapliwych dźwięków ruchliwej córki Izraela. Żydówka spojrzała na niego, on na żydówkę, poczem przyglądając się w szklance podejrzanej herbaty, rzekł tonem stanowczym:

— Idę do dworu!

— Nu naco panu dwór? Co dwór? Tam żadne robotniki nie trzeba!

— Idę do dworu!—podniesionym głosem powtórzył Witold.

Lakoniczność i ton powiedzenia tego sprawiły, że pomimo ogólnie potem zadawanych pytań, dotyczących właścicieli pałacu Komorowskiego, żydówka stała się malomówna i tak podejrzliwie mu przyglądała się, że Witold uważał dalsze swe indagacje za bezcelowe. Pobył jeszcze chwilę, poczem zapłaciwszy za herbatę opuścił zajazd żydowski, postanawiając teraz wprost udać się do dworu. (c. d. n.)

Igraszka losu

(d. c.)

(Szkic do powieści).

Gajowy, mocno zakłopotany, z czapką w ręku biegł do sań dziedzica.

— O lo Boga, custo za gość zadki. Jaśnie pan Stręckowski — wykrzykiwał z udaną radością gajowy.

— Nie pleść głupstw—i do pracy. Niemila historia, mamy na saniach małego trupka. Może się da życie mu uratować. Jakaś bieda rzuciła mi nam go pod konia!—Komenderował dyktatorskim głosem pan dziedzic, nieco poruszony całym tem wydarzeniem. Czuł, że głos sumienia dyktuje mu z pomocą Boga, co dał życie temu robactwu, co się zwie „chłopstwem“. On, pan ziemski wszego stworzenia, ma

jakie takie obowiązki moralne. Zresztą, czego się nie robi na wsi dla dobrego przykładu. Niech wie prawica, co robi lewica — mwał pan dziedzic i robiąc szerokie, pańskie gesty, zaganiał lokaja swego do roboty, jakby szło o czyszczenie koni w stajni.

— Nie marudzić. Nogi małemu rozcierać, no, ręce wyginać, na prawo, lewo, do góry. Żwawo. A dać mu oddychać. Trzeba ratować życie zamarłe i starać się, by wieś знаła pana dziedzica, co dba o swych przyszłych poddanych.

Lokaj i gajowy słuchali każdego słowa, wzkrzykiwanego na mrozie — z nabożeństwem.

— Toć Bóg nam zesłał dobrodzieja! — piszczała pani gajowa przybiegając w pokłonach i podrygach. Na biodrach szerokich jej fałdzista spodnica skręcała się w wałek jak przystało na zaściankową siostrę pana organisty. Tymczasem dziecko dawało znaki życia. Oddychało od czasu do czasu, jak zamierające kurczątko.

— O lo Boga, to ci mu się dusza do życia zbudziła — lamentowała gajowa, gajowy trenował półnieboszczyka, nie szczędząc fatygi dla dziedzica. Wiedział, że pański kaprys będzie nagrodzony sowicie.

— To dla pana dziecica, jak mi Bóg miły. Czego jabym nie zrobił dla dobrodzieja naszego. Ostatnią koszulę, panie tego i portki bym zdjął ostatnie, za pozwoleniem, byleby panie dziku... — podlizując się swemu panu paplał gajowy same grzeczności. Dzieciak był uratowany. Dziedzic rzucił gajowemu papierek pieniężny, skinął ręką gajowej, a ta rzuciła się panu do ręki, by uślinić mu sygnet szlachecki. Pan Strączkowski wytarł starannie pierścień chusteczką i pchnąwszy lokaja przed siebie — usiadł na saniach wygodnie.

Bachora cudem uratowanego, kazał pan utulić chustami i wziął ze sobą.

Woźnica pijany z powodu okazji wprost wyjątkowej, dołał koniom kilka tegich batów i same pognały przez pola, jak huragan.

Lokaj patrzył na chusty, które otulały chłopczyka i zalzawionym wzrokiem obejmował postać swego pana.

— I pomyśleć sobie, jakie ten cham ma szczęście. Taki pan, co mógł plunąć na trupa i nie spojrzeć za nim więcej — raczył wysiąść i był łaskaw się sam fatygować.

No — no... A to ci ma szczeniak wyjątkowe szczęście — — i snując lokaj sennie swoje wnioski, przechylił się nad zawiniątkiem z ludzkim ciałem i zdrzemnął się. A jego pan równocześnie szarpał nerwowo wąs szumiasty i palił fajkę angielską z wykwinną miną. Nakoniec poprawiając drucikiem tytoń w cybuszku, mruzczał: „Igraszka losu“... Jakie to wszystko dziwne, bardzo dziwne. (c. d. n.)

(M. Andzilewko, kl. V).

R y b a k

(Nowelka)

Eljasz usłyszał śpiew, głos kobiety, pełen uroku. Wewnątrz jego chłopskiej duszy odezwało się uczucie, które kazało mu być szczęśliwym. Zrozumiał teraz, że obok matki, łodzi ojcowskiej i rozpadającej się z wilgoci chałupy, jest jakaś czarowna kraina, nieznana porciągająca zmysły jego. Tęsknota do czegoś, co sam przeżywał, a czego nazwać nie umiał po imieniu targnęła jego niewinnem sercem. Chłopskie uczucie zakwiliło opodal jak szum drzew, płynący z pobliskiej brzeziny.

A śpiew rozkołysał kręgi fal jeziora i płynął majestatycznie przez pola. Wierzchołki, kołysanych wiatrem drzew leśnych, stokrotnem echem rozprzestrzeniały tęskny śpiew kobiety.

Ludzie mówią, że jestem szczęśliwa,
Ja się z tego śmieję,
Bo nie wiedzą, jak ja często,
leż potoki leję.

Zdało mu się, że ta pieśń teraz tak szczerą, prostą. Głos srebrzysty, drżący uczuciem wabił go na sam środek rzeki między sitowia odludnej wysepki. Zbliżył się do miejsca skąd płynął melodyjny głos. To dwoje ludzi siedziało w miłosnym uścisku; dziewczyna o smutnym wyglądzie, wpatrzona w oblicze mężczyzny.

Eljasz poznał w niej panienkę z dworu, Weronikę, o której matka mówiła z nim. Oczy jego załzawiły się, głos zadrżał, cała postać jakoś nieruchoma, chwiejna stała, jak posąg, nieżywa.

Chciał ich przeprosić; może nie wolno iść dalej „jemu“, ona się zasmuci, rozpłaczę. A lzy panięskie były droższe nad życie. Przystanął, był niepostrzeżony. Rozmowa toczyła się gładko. Weronika olśniewała panicza, dziewczyna czuła w głosie mężczyzny drżenie niesamowite. W oczach jego czytała, jak w kartach, całe swoje szczęście, co ją czekało z nim razem.

— Śpiewaj dalej..

— A będziesz słuchał—mówiła zalotnie.

— Tak, choćby całą wieczność..

— Ze mną?

— Z tobą, jedyna zazula, moja, — na zawsze, niepodzielna...

Słowa jego płynęły, jak wezbrany potok.

Czy mam prawo do pocałunku—zebrał nieśmiało panicz, kładąc rozpalone czoło na jej kolanach.

Czuła Weronika słodycz jego kruczonych włosów, gładziła kędziory drobnymi palcami, nurzając się z uśmiechem—w myślach—o swym ukochanym. Miała go bowiem tak blisko. Jednak nie mogła na nic więcej sobie pozwolić...

Pocałunek? Nie, to coś, co hańbi młode serce, co nie daje spokoju, odbiera sen i wolę... Pocałunek — nie, ma to jeszcze zbyt wczesnie. Niech naprzód mocno pokocha zrozumie, co tęsknota. Miłość to wielka i święta rzecz, co równa człowieka z Bogiem. Ponad gwiazdami, hen, gdzieś, wśród chmur, sam na sam z nią i wiecznością... — Weronika знаła poezję Kasprowicza. — Weronika miała religijny petyzm dla uczucia swego, które hodowała w sobie sztucznie, jak egzotyczny kwiat. Była z tych, co pięknie, książkowo kochają przy akompaniamencie muzyki w ruchach wirowych salonowego tańca. Jej miłość nie miała polnych zapachów kwiecia, miała perfumowy posmak sypialni dworskiej, wykwintnej, czarującej, przesyconej kulturą.

Panicz miał tchnienie paryskiego kabaretu, był zgnily do szpiku kości rozpustą wielkiej stolicy. Dla niego Weronika wydała się chłopką, co gęsi pasie. Taka głupiutka, czysta, dziecinna...

I począł nucić ochryłym głosem znudzonego życiem młodziana

„Jak w pajęczynie mała muszka drży,
tak ja w ramionach twych ginę,
Ach, powiedz, jak ukoić ból i lzy,
jak zerwać tę pajęczynę.“

Smutna melodia tanga, zatrute słowa znudzonych, nasyconych zmysłów.

— Ohydne — pomyślał Eljasz i wszystko, co prawe i szczerze zatrzęsło się w nim z oburzeniem.

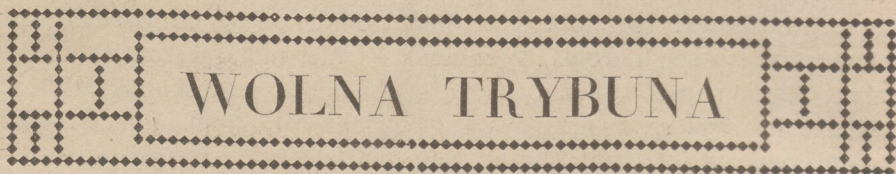
— I ona słucha! — i on ma prawo tak śpiewać! Boże, jakże ja cierpię i współczuję jej. — Chwytał się gwałtownie za głowę zropaczony Eljasz. Jak prostak myślał i czuł, jak zwykły pacholek, pastuch. Czem był wobec niej i panicza? Robaczkiem. Jak zwinny szympan gotów był w silne ramiona schwycić tę białą gołębicę i unieść na pustkowie, gdzie brudu niema, niebezpieczeństwo znika. Leżałby opodal, jak skopany pies, który z pokorą liże rękę i nogi swego rozgniewanego pana.

— Hm, chłopskie marzenia, jakie one inne, okrutne, biczujące siebie we wstydzie, samoudręce — warczało sumienie Eljasza, targane dziką namiętnością. Zachwiał się rybak i płacz nim zatrząsł, wil się w bólu, jak dzieciak, co w ogniu się spala bezradnie.

Zapomniał o matce, o łodzi rybackiej i chacie, rozpadającej się z wilgoci. Tylko ona, ona, ona... była z nim, z jego myślami, jego czystym uczuciu. Jeno „ona“, panienska z dworu zwała się, jak skała, co miażdży, niszczy i zabija..

Piotr Pupin (kl. VII.)

(c. d. n.)



NIEPORUZOMIENIE.

*„Koło Wychowanków Gimnazjum Dziśn.“ a „Koło Dziśnian w Wilnie.“
Zygmunt Bobiatyński, student Wyższej Szkoły Handlow. w Poznaniu.*

Nigdy nie byłem i wątpię czy jest ktokolwiek w „Kole Wychowanków Gimn. Dziśn.“ któryby był przeciwnym istnienia „Koła Dziśnian w Wilnie“. Kolega Snarski pisząc że istnieją malkotenci z powodu zawiązania dwu organizacji o indentychnych niemal celach nie utrafił w sedno sprawy, nie zna bowiem powodów, które nam każą obawiać się o kolizje mogące powstać pomiędzy obu organizacjami.

„Koło Wychowanków“ obejmuje wszystkich wychowanków gimnazjum Dziśn. (nietylko akademików i maturzystów) a więc jednocy interesy wszystkich wychowanków a że w Wilnie lwia część akademików Dziśnian jest członkami „Koła wychowanków,“ więc jasnem jest, że zła wola tychże może stawić przeszkody w naszych poczynaniach.

Wynik pracy każdego stowarzyszenia zależy od wysiłku poszczególnych członków, a że każda organizacja umożliwia przeprowadzenie podziału pracy, więc tem samem przyczynia się do usprawnienia przedsiębrania czynności. Tymczasem cóż się dzieje? „Koło Dziśnian,“ na naszym terenie, bez żadnego z nami porozumienia, tak jak gdybyśmy nie byli członkami jednej organizacji, urządza imprezy, starając się wszelkiemi sposobami nas uprzedzić lub wręcz nam przeszkodzić. Wytwarza się przykra i niewytłumaczalna historia. „Koło Dziśnian“ zwalcza „Koło Wychowanków“ na jego własnem terytorjum. Czemu? Wszak my wszelkiemi sposobami staramy się wspomagać naszych kolegów akademików w Wilnie, my przecież z funduszów, otrzymywanych z imprez dajemy rocznie stypendjum

dla jednego z akademików Dziśnian w Wilnie. Obawy nasze sprawdzają się, fakty świadczą o tem, że dwie organizacje na jednym i tem samem terytorjum miast współpracować, współzawodniczą ze sobą, miast iść ręką w rękę powstają niesnaski.

Mimowoli nasuwa się pytanie czy może dojść do porozumienia na jednym terytorjum? Otóż dwie organizacje współzawodnicząc ze sobą rozbijają siły na kilka ugrupowań i co za tem idzie część akademików wileńskich, a wszakże niemal wszyscy maturzyści Gimnazjum Dziśn. studjują w Wilnie, odpadliby od nas, co mogłoby przyczynić się do pogrzebania ideologii „Koła Wychowanków.“ Czyżby do tego dążyli „Dziśnianie?“ Nie! Ci co szczerze myślą, ci co umieją głęboko czuć i dla idei pracować, nie przyłożą do tego ręki, a jednak... istnieją tam Wilnie tacy, którzy prowadzeni prywatnymi urazami nie tylko z nami nie chcą współpracować, ale nawet starają się szkodzić.

Nie rozbijajmy sił! Pracujmy wspólnie jak członkowie „Koła Wychowanków na terenie Dziśnieńszczyzny i Brasławszczyzny a jako „Koło Dziśnian“ na terenie innym.

Dobrze się stało, że tak aktualną sprawą, zaczynamy głęboko się interesować, bo gdyby nasze nieporozumienia zostawały w ukryciu, niewyjaśnione, jątrzyłyby obie strony. Dyskusja obiektywna, rzeczowa, powinna doprowadzić do porozumienia; niechaj będzie ona przygotowaniem się do Walnego zebrania, które się odbędzie podczas wakacyj letnich; zrobimy generalny rachunek sumienia, obu organizacyj, niektórym przytrze się rogów i sprawy pójdą raźniej i szybszym krokiem naprzód. Każdy sąd prawdziwy powinien się opierać na prawdziwych przesłankach. Moje wywody nie są improwizacją i bezpodstawne, opieram się na faktach, które wyraźnie mówią do czego może doprowadzić rozbicie sił, na terenie dziśnieńszczyzny pomiędzy obu organizacjami.

Faktów smutnych, lecz prawdziwych mógłbym przytoczyć dużo, poprzestanę na kilku, najdobitniejszych, które wyraźnie mówią, że tę sprawę trzeba brać poważnie, a nie zbywać frazesami. Teorje i życie chodzą często różnemi drogami. Oto te fakty;

15 września 1931 roku „Koło Wychowanków postanowiło wystawić przedstawienie zorganizowaniem którego zajął się energicznie jeden z członków zarządu „Koła Wychowanków“

Wszystko szło jak z płatka; gdy raptem zjawia się jeden członek z zarządu „Koła Dziśnian“ a dowiedziawszy się, że biorą w przedstawieniu udział członkowie „Koła Dziśnian“ zdeorganizował dotychczasową pracę, namówił akademików Wilnian, aby nie grali z ramienia „Koła Wychowanków“ a jako „Koła Dziśnian.“

Postępek ten niepotrzebujący komentarzy, czyż nie wyraźnie mówi o tem, że obawy nasze się sprawdzają. Przedstawienie nawiąsem mówiąc poszło fatalnie,

5 stycznia 1932 roku cichaczem tak, żeby o tem broń Boże, nie dowiedział się zarząd „Koła Wychowanków“, urządziło „Koło Dziśnian“ szumny bal. Wskutek słabej organizacji, późnego rozesłania zaproszeń, dzięki wybraniu nieodpowiedniego terminu, nauczycielstwo bowiem jeszcze nie nadjechało a studenci byli na odjeździe, przytem wskutek nietaktu ze strony organizatorów, bal się nie powiódł z powodu małej frekwencji.

Zdawałoby się, że organizatorowie zdają sobie sprawę, że niedudany bal to ich wyłączna wina, tymczasem winę zwalono na „Koło Wychowanków“.

Gdybym hodował brodę to rwałbym ją nie z rozpacz a ze zdziwienia. Zarzucają nam bojkot balu!? Po sumiennem porachowaniu, okazuje się, że na balu było siedmiu członków z „Koła Wychowanków“ a trzech z „Koła Dziśnian“. Wiarygodniejszym jest, że sami siebie bojkotowali.

Widzimy więc, że rozbicie sił na każdym polu daje fiasko! Zedrzyjmy więc maskę obłudzie! Odrzućmy precz prywatne urazy! Szukajmy podstaw współpracy.

Jesteśmy przecież organizacją, która rozwijając się, obejmuje coraz szersze kręgi, może stanowić o charakterze tych powiatów, stając się poważnym czynnikiem postępu, kultury i polskości.



Harcerze z nad Dźwiny.

Nad Dźwiną, gdzie Dzisna zwięża swój bieg.
Stoimy Polacy—harcerze,
I patrząc na fale dwu rzek,
Pełnimy straż wiernie i szczerze.

A herbem naszym rybacka łódź
Wraz z żaglem rozpiętym na fale,
Żar bratni potrafił serca nam skuć,
W całość tak mocno—i trwale.

«Bóg i Ojczyzna»—nie pusty to dźwięk,
Lecz pełen jest sił i uroku,
A my harcerze, nie znamy—co lęk
I stąd nie ruszymy ni kroku.

«Wolność Ojczyzny»—nie pusta to baśń,
O którą ojcowie walczyli,
Lecz rzecz to wielka, jak słońca jest jaśń:
Szczęśliwi co żyją w tej «chwili».

Z hartowną dumą, tak mocną, jak stal,
Kochany nasz kraj i przyroda,
Sokolim wzrokiem patrzymy się w dal...
I dłoń wyciągamy po zgodę.

D. Kasaty, (IV kl.).
Dzisiaj, 21.I. 1932.

Harcerska noc.

Bór stoi głuchy i ponury,
Księżyc o śmieszno—miej twarzą
Z błękitów wyjrzał z poza chmury,
Patrząc w ognisko, co się żarzy.

Płomienie sypią iskier burze,
Dym mknie ku niebu, hen, wysoko,
Trącając liście drzew tuż w górze,
I budząc ptaka śpiące oko.

Ogniste iskry na głów rzędy,
Rzucają srebrno-złote blaski,
Przecudny obraz jak w legendy,
Gdyby nie dziwne harce, wrzaski.

Harcerskie stroje, buzie, oczy,
Harcerska piosnka brzmi wesoło,
Poważnie młody strażnik kroczy
I patrzy pilnie naokoło.

Nagle z za krzaku cień się rusza,
Coś cicho stąpa, pękło, trzasło,
Choć mdleje zabobonna dusza
Lecz rzuca umówione «hasło».

Na wystrzał porwał się huf cały,
Z wrogiem pędzi w gęszcze boru,
Z szczebiotem ptaki się zerwały,
Wtorując szmerem piór do chóru.

Wracają... Znowu cisza święta.
Strażnicy chodzą uzbrojeni,
Posnęli wszyscy jak pisklęta,
Skrzydłami nocy otuleni.

Bór stoi głuchy i ponury,
Księżyc o śmiesznie bladej twarzy
Z błękitu wyjrzał z poza chmury
... i patrzy w ogień co się żarzy.

11.XII. 1931.

(D. Kasaty, IV kl.)

Apel do Rodziców naszej młodzieży.

(ankieta).

Redakcja «Naszego Głosu» chcąc nawiązać bezpośrednio łączność domu ze szkołą zwraca się z gorącą prośbą do Szanownych Rodziców i Opiekunów koleżanek i kolegów naszego Zakładu szkolnego, by na łamach pisemka gimnazjalnego pisemnie zabrali głos w sprawach, które dotyczą tych, co dbają o przyszłe pokolenie wszystkich obywateli państwa i społeczeństwa. Nie wątpimy ani na chwilę, że apel znajdzie oddźwięk na terenie Dżyżny i powiatu dżyżnińskiego. Idzie o rzecz bardzo ważną! Jaki macie pogląd na wychowanie waszych dzieci? Czego żądacie od szkoły współczesnej? Czy znajdujecie w dzieciach swych «tych», których chcecie w marzeniach i ideałach widzieć? Czy szkoła daje pełne zadośćuczynienie za wasze troski, kłopoty i poświęcenia dla idei oświaty i wychowania? Czy koedukacyjne wychowanie nie budzi jakich zastrzeżeń? Czy w zupełności wierzycie tym, którym powierzacie los i szczęście waszych dzieci?

A może chcecie ściślejszego wglądu w pracę wewnętrzną szkoły. Może chcecie widzieć swe dzieci «podczas pracy w szkole», w «Czytelni», «podczas przerw na korytarzu», «podczas ćwiczeń harcerskich» i t. p., w bursie? Może chcielibyście księżnicę zobaczyć i pomyśleć nad «czytelnictwem»? Piszcie!

Przyjacieli «Starych».

Szanowno Redakcjo!

Pisemko wasze, jakie otrzymałem od pana Kuratora bardzo mi się podobało, jak również ucieszyło mnie, że jest młodzież, która także interesuje się literackimi sprawami; Redakcja więc «Naszego Głosu», całe gimnazjum i Dżyżna — wszystko to urosło w moich oczach.

Sama będąc redaktorką pisemka, które posyłam, wiem co to znaczy doprowadzić podobną rzecz do skutku.

I myśmy przechodziły ciężkie koleje, o których Szanowna Redakcja dowiedzieć się może z tych kilku numerów naszej gazetki.

«Ogniwa» nasze nie mają tak szerokiego zakusu, jakim poszczycić się może «Nasz Głos». Są one organem nawskroś szkolnym — w nich ma odzwierciedlić się życie uczniowskie ze swemi troskami, kłopotami, jak i radościami; one mają być obrazem naszych myśli, zainteresowań; program więc mniejszy — lecz mam wrażenie, iż gdyby był wyczerpany — byłby zadawalający, wystarczający, bo przecież pisemko redagowane przez młodzież szkolną powinno mieć ten charakter! Kto bowiem ma o ławie szkolnej pisać, jeżeli nie my?

Z tego stanowiska wychodząc — pisemko nasze nie jest pismem naukowym! Natomiast «Nasz Głos» — to organ daleko poważniejszy — to miesięcznik społeczno-naukowy i literacki.

Nie przeszkadza to jednak, że gazetka wasza podoba nam się bardzo i z przyjemnością śledzilibyśmy jej rozwój, jak i ciekawe jesteście jej przeszłości, powstania.

Przeto, o ile to jest możliwe, prosiłabym bardzo o napisanie nam o tem wszystkim, co w związku z historją «Naszego Głosu» żywo nas interesuje. Proponuję również w tym samym celu wymianę pisemek.

Tymczasem Szanownej Redakcji i Wydawcom «Naszego Głosu» życzę jak najdłuższego utrzymania się Ich pisemka.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

Zofja Kleidimstówna.

W Toruniu, 22.I. 1932 r.



Dział dla dzieci.

DWUNASTA WYBIŁA.

Dwunasta wybiła
I wszystko ucichło,
Wszystko już śpi,
Z chat światło znikło.
Na polach mróz i wicher dmie,
Jeno się serce do płaczu rwie.

Dwunasta wybiła,
Świat pustką tchnie,
W chatce przy drodze,
Śmierć liczy dnie:
To dziaduś stary dziatki ukochane
Żegna. Umarł. Trup. Białe łachmany...
Och, oczy zamknął; och, błogo śni
O tamtym świecie, gdzie szczęście lśni.

Cyganka, (oddz. VIII Szk. Pow.)

Do celu.

Śpieszmy do celu,
Lecz wszyscy razem,
Bo nas jest wielu,
Jesteśmy młodzi,
Praca jest żmudna
Niech plony rodzi.
Śpieszmy czempredzej
Do celu,
Czy wszyscy razem
Nie widzę wielu.

Cyganka, (oddz. VII Szk. Pow.)

Hej, Janeczko!

O? Janeczko, dość już spać...
 Woła kogut: «Wstać, już wstać».
 Już i kurka złotopiórka
 Woła na cię też z podwórka.

Hej, Janeczko, dość już spać,
 Nawet niania woła: Wstać.
 Lecz Janeczce coś się śni,
 Pod kołderką śpi a śpi.

Powszechniaczka, (oddz. VII)

Ś n i e g.

Jeżeli śniegiem się nazywasz,
 Dlaczego białymi puszkami
 Podwórka nie przykrywasz?

Choć zima i w tym roku,
 Dlaczego śniegu mało,
 Czemu nie śnieży się o zmroku?

Hej! niej żałuj sił, ty chwacie,
 Śniegu, nakryj ziemię
 I utul w swojej szacie
 ... bo człowiek płacze.

Abram Grejniman (oddz. VII Sz. P.)

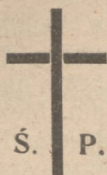
Na ślizgawkę!

Na ślizgawkę Józek woła,
 On prowadzi rej,
 Pędzą dzieci z miasta, z siól,
 Biegnę i ja. Hej!!

Chłopcy łyżwy przytwierdzają,
 Śmieją się wesoło...
 Dziewczęta zaś, jak ropuchy,
 Skaczą naokoło.

Chłopczyśka się wciąż ślizgają,
 Jadąc na wyścigi.
 A dziewczynki sanki ciągną,
 Kręcąc się, jak frygi.

Lola Koszelówna (Szk. Pow.)



We Lwowie dn. 2 marca b. r. zmarł po długich i bolesnych cierpieniach, na suchoty, ś. p. prof. **Ignacy Piotr Faczyński**, urlopowany polonista naszego Gimnazjum.

Dzięki taktowi pedagogicznemu, niezwyklej erudycji i kultury estetycznej, cieszył się Zmarły wielkiem poważaniem w gronie swych kolegów i zyskał miłość młodzieży szkolnej. Będąc równocześnie ś. p. prof. Faczyński artystą-malarzem, z Bożej łaski, wzbogacił swemi olejnymi portretami dziśnińskie Gimnazjum, oraz teatr szkolny.

Jego pendzla są godne wyróżnienia trzy zwłaszcza portrety, a mianowicie: olbrzymich rozmiarów portret olejny ks. G. Piramowicza, obraz św. Teresy, wiszący obecnie w kapliczce Gimnazjalnej, oraz portret pana dr. T. Staniewskiego, dyrektora Gimnazjum w Dziśnie. Pozatem Zakład nasz zawdzięcza Zmarłemu dekoracje do „Syreny“ oraz do „Legendy“, stojące na wysokim poziomie artystycznym.

Szkoła polska na Kresach Wschodnich utraciła w Zmarłym kulturalnego nauczyciela i Szlachetnego Człowieka.

Cześć Jego Pamięci!

Przygody ołowianego żołnierza.

Noc była ciemna, straszna. Wcale spać nie mogłem. Usłyszałem szmer. Zapaliłem latarkę elektryczną. Czuwam. Słyszę kroki ołowianego żołnierza. Idzie. Stał przy mem łóżku w pełnej zbroi. Stoi na baczność. „Spocznij!”—wołam. Melduj, czego ty chcesz?

— Nie śpisz? — mówi żołnierz. Posłuchaj mnie, opowiem moje dzieje, chcę mówić z tobą. Zrobiono mnie w fabryce, z ołowiu. Robotnicy mówili o mnie, że się udałem. Potem mnie kupił bogaty kupiec, powędrowałem do sklepu. Stałem za szkłem. Przypatrywali mi się przez szybę wystawową. Dużo widziałem. Zwłaszcza dzieci pochłaniały mnie oczami, widocznie bardzo im się podobałem.

Razu pewnego wszedł do sklepu starszy jegomość z synalkiem. Chłopak zakochał się we mnie od pierwszego spojrzenia. Potem targowali się o mnie. Sprzedano — kupiono. Nikt nie pytał się, czy zechcę iść w obce ręce. Powędrowałem do innego mieszkania. Tam miałem kolegę na stole dziecinnym, drugiego żołnierza. Zaznajomiliśmy się, byliśmy kolegami. Ale tamtego bardziej kochał. Byłem przeto zazdrosny. O kogo?. O swego panicza. Przyszło do orężnej rozprawy.

Stałem do pojedynku z mym przeciwnikiem.

Rozstrzygał spór nasz panicz. Ranilem przeciwnika. Tamten poszedł do szpitala, ja zostałem na biurku, jako ozdoba i wspomnienie lat dziecinnych.

Panicz stał się dorosłym mężczyzną. Ożenił się.

Dziś jestem znów przedmiotem zabawy. Ty jesteś synkiem mego panicza, który mię wziął z wystawy sklepowej. Taka historia mego życia.

Pamiętaj o tem, że mam duszę, umiem kochać i jestem wierny. Ale zdradzać mnie nie wolno.

— Pamiętaj chłopczyku!

Adam Bortkiewicz (oddz. VI Szk. Pow.)



KRONIKA

Zabawy.

Dnia 1 lutego 1932 roku odbyła się zabawa karnawałowa Wychowanków Gimnazjum Państwowego w Dziśnię w sali Gimnastycznej Gimnazjum. Ogólne wrażenie zabawy było dobre.

Dnia 2 lutego 1932 r. odbyła się zabawa taneczna, urządzona przez Samorząd VII oddz. Szkoły Powszechnej. Zabawa zorganizowana była świetnie. W swej prostocie miała urok. Zuchy, koledzy ze Szkoły Powszechnej! Dochód przeznaczony na przybory gimnastyczne.

Dnia 6 lutego r. b. odbyła się ogólna zabawa kostjumowa całego Gimnazjum. Kryzys odbił się mocno na kostjumach kol. kol. klas wyższych, jednak bawiono się świetnie, jak nigdy. Dochód przeznaczono na fundusz pisma „Nasz Głos“.

Komitet Redakcyjny „Naszego Głosu“ w Szkole Powszechnej.

Dnia 1 marca r. b. staraniem naucz. Bronisławy Szantyrówny, opiekunki pisma z ramienia Szkoły Powszechnej, zebrały się V, VI i VII oddziały o godz. 3.30 po poł., aby utworzyć Komitet Redakcyjny pisma „Naszego Głosu“. Z każdej klasy wybrano po 2-ch delegatów, którzy między sobą wyłonili prezesa, sekretarza i skarbnika. Na zebraniu był obecny kol. Piotr Pupin, jako delegat z ramienia Redakcji, który w swoim krótkim przemówieniu wyświetlił przyczynę istnienia pisma, korzyści i zachęcał przytem do pisania artykułów, jak i rozpowszechniania pisma. Węzeł przyjaźni między Gimnazjum, a Szkołą Powszechną został jeszcze mocniej zaciśnięty.

Tak — razem młodzi przyjaciele, bo „droga stroma i śliska“... do celu..

Otwarcie Czytelni Uczniowskiej.

Dnia 27 lutego r. b., wieczorem, staraniem Redakcji „Naszego Głosu“ została otwarta Czytelnia Uczniowska, która, oprócz dni świątecznych jest zawsze czynna od godz. 5 do 7-ej. W czytelni, oprócz rozmaitych gazet dozwolonych przez Dyрекcję, istnieją piśmka nadesłane z rozmaitych stron Polski. A więc czytajcie, czytajcie!.. Opiekunem Czytelni jest prof. A. B. Cyps. W dniu uruchomienia Czytelni zaszczycił młodzież swoją osobą p. Dyrektor, Prosimy jednak o większy lokal i stoły, bo ciasno czytelnikom, o drugą lampkę, o „wiadomości literackie« i o... wieszak.

Ku czci J. Waszyngtona.

Dnia 1. III. b. r. dla uczczenia 200-setnej rocznicy urodzin Jeżego Waszyngtona, w sali gimnastycznej, wygłosił odczyt p. prof. Roman Kamoda, który doskonale scharakteryzował Waszyngtona na tle ówczesnych czasów i wypadków dziejowych.

Teatr Szkolny wystawia „Kordjana“ Słowackiego, z udziałem p. Dyrektorowej Staniewskiej w roli Laury.

Odczyt p. Dyrektora p. t. „Miasta polskie“.

Dnia 19 lutego b. r. w Domu Ludowym wygłosił p. Dyrektor dr. Tadeusz Staniewski odczyt p. t. „Miasta polskie“. Ciekawy odczyt zgromadził młodzież Gimnazjum, jak też i Szkoły Powszechnej, urozmaicony przezroczami, został utrwalony w pamięci młodzieży.

Pobył prof. E. Zobczyńskiego w Dziśnie.

Dnia 7 marca b. r. odwiedził nasze Gimnazjum p. prof. E. Zobczyński, celem zorganizowania oddziału Ligi Morskiej na terenie naszej szkoły.

Msza żałobna.

Dnia 8 marca b. r. odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. prof. Ignacego Faczyńskiego, byłego polonisty Gimnazjum.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

Hrabia — kl. VI: Witamy po hrabiowsku artykuł o »Szczupaku«. W przyszłości umieścimy. Czekamy pracy nadal. Dziękujemy i życzymy powodzenia na przyszłość.

Witoldowi — kl. I: Wiersz umieścimy z poprawkami. Pisz dalej — czekamy.

Soni Kłuptównie — oddz. VI: Artykuł o powstaniu za słaby.

Kasaty — IV kl.: Wiersze umieszczamy; feljton »Pałace Łzy« w przyszłości umieścimy. Polecamy się pamięci!

Cytowiczowi Z. — kl. IV: Wiersz »Świt« niezły; umieścimy w przyszłości.

Iskierce: Wiersz niezły — umieścimy. Pisać dalej!

Promień — kl. VI: »Miłość sztubaka« trochę za słabe. Warto opracować.

D. S. — kl. III: »Czołem« jest beztreściwe, a takich rzeczy nie umieszczamy.

Arnold: Zagadnienie poruszone przez Kolegę jest naprawdę ważne, ale i bardzo drażliwe. Prosimy zgłosić się do Redakcji, celem porozumienia się w sprawie artykułu.

Róża: Słabe; do kosza.

Grejniman U. — kl. III: Słabe; nie umieścimy.

M.: W przyszłości, po poprawieniu, może umieścimy.

Lew: »Leśni Kochankowie« opracowane niezłe, tylko nas mocno dziwi to, że można umrzeć z racji niespożycia jednego obiadu; nie umieścimy.

K. Łamigłowa: Zadania umieścimy w przyszłości.

Realista — kl. VIII: Do druku nie nadaje się.

R. M.: Redakcja, chociaż uzbrojona w lunety, teleskopy i mikroskopy, nie zdołała odcyfrować nadesłanego artykułu.

Maharadża: Postaramy się wykorzystać.

UWAGA: Bez podpisów, jak i pseudonimów artykuły wrzucone do skrzynki bez pardonu idą do kosza—i na nie nigdy nie będą dawane odpowiedzi, nie mówiąc o umieszczeniu, chociażby i dobre było. Pisać prosimy wyraźnie, starannie i poprawnie. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Nie możemy teraz wszystkim udzielić odpowiedzi z braku miejsca. Układ obecnego numeru nas usprawiedliwia. Prosimy o cierpliwość.

Opiekun pisma: prof. Aleksander Bolesław Cyps.

Opiekunka z ramienia Szkoły Powszechnej naucz. Bronisława Szantyrówna

Redaktor naczelny: Piotr Pupin, uczeń kl. VII.

Zastępca Redaktora: Jan Huszczo (kl. VI). Administratorzy: Antoni Puchalski (kl. V), Oskierko Konstanty (kl. V), Józef Mirski (kl. V) i Oskierko Władysław (kl. VI)

WYDAWCA: Młodzież Szkolna w Dziśnie
